

Nigdy wcześniej nie byłam w poradni psychiatrycznej. Zawsze ta nazwa wywoływała u mnie lęk. Uważałam, że tylko wariaci tam chodzą, bo tak potocznie mówiło się o ludziach z problemami psychicznymi. Ja byłam zdrowa na umyśle, a mimo to musiałam tam się udać.

Z wielkimi oporami poszłam któregoś dnia, ze skierowaniem od lekarza rodzinnego. Moje problemy zaczęły się w dzieciństwie. Rozwijałam się na ogół normalnie. W szkole nie miałam kłopotów z nauką, ale z zachowaniem. Mój dzienniczek pełen był uwag w rodzaju; „nie uważa na lekcji, zamyśla się, jest nadpobudliwa, płacze bez wyraźnego powodu” i wiele, wiele podobnych wpisów. Rodzice cierpliwie tłumaczyli, prosili, a ja nie bardzo rozumiałam czego oni wszyscy chcą ode mnie.

Sytuacja poprawiła się trochę gdy byłam starsza. Wtedy zdarzały mi się inne dolegliwości. Pamiętam, że któregoś dnia nagle zabolęła mnie noga, tak bardzo, że nie mogłam chodzić. Wyłam z bólu, a z nogą tak naprawdę nic się nie działo. Za jakiś czas to samo zdarzyło się z gardłem. Lekarz nie dopatrzył się najmniejszego zaczerwienienia, ani temperatury, a ja dusiłam się, nie mogłam mówić i trzepałam się jak w febrze.

Po raz pierwszy padło rozpoznanie „nerwica”.

I tak już zostało. Mama poila mnie uspokajającymi kropelkami, ziółkami. Nie na wiele się to zdało.

Niby nic mi nie było, a jednak wciąż czułam się dziwnie. Nie mogłam znaleźć swojego miejsca w życiu. To co robiłam, nie bardzo mi się podobało. Mama mówiła, że bujam w obłokach. Ojciec, że jest mi za dobrze i sama nie wiem czego chcę i że jestem rozpuszczonym bachorem.

Zdałam maturę i wybrałam studia jakie chcieli rodzice, ekonomię, bo to podobno zawód z przyszłością. Nauka nie sprawiała mi trudności, ale ta dziedzina zupełnie mnie nie interesowała. Uczyłam się tylko po to, żeby zaliczyć, zdać i nie zrobić rodzicom zawodu. Jednak cały czas marzyłam o muzyce, o malarstwie. Od dziecka lubiłam śpiewać, rysować.

Kiedy w szkole średniej przyjęto mnie do szkolnego chóru, mój świat nabrał innych barw. Próby, zajęcia z muzyki i śpiewania były dla mnie wyzwoleniem. Moja dusza śpiewała, a szare dni stały się piękne i radosne. Moje śpiewanie skończyło się gdy wyjechałam na studia. Tu nie było czasu na dodatkowe zajęcia. Znowu zaczęły się napady chandry, koszmary senne i jakieś dziwne stany emocjonalne, których nawet określić nie potrafiłam. Najgorsze były sny. Od lat wciąż śnił mi się taki sam sen. Duży, ciemny pokój, ja jako małe dziecko w łóżeczku i dużo ludzi, a potem płacz innego dziecka. Budziłam się i miałam niemal pewność, że to dzieje się naprawdę. Po takiej nocy następnego dnia chodziłam jak pijana. Dobrze, że ten sen nie powtarzał się za często, tylko raz, dwa razy do roku.

Po długich wahaniach, sama wybrałam się do lekarza, a potem do psychologa i do psychiatry. Wypełniłam sterty testów, odpowiedziałam na dziesiątki pytań. Wyszło z tego, że jestem histeryczką. Zalecono mi psychoterapię i leki uspokajające. Dałam sobie spokój z lekarzami, psychologami. Zaczęłam żyć po swojemu.

Jak mi było źle to szłam do klubu studenckiego na wino. Tam zawsze znalazł się ktoś z kim można było pogadać, pośmiać się potańczyć i wypić.

Na jakiś czas moje chandry ustąpiły, a ja stałam się osobą towarzyską jak nigdy dotąd.

Wszyscy mówili, że jestem ładna i zgrabna, więc i ja zaczęłam tak się postrzegać. Do tej pory nie zastanawiałam się nad tym. Owszem, lubiłam się stroić, ale więcej przyjemności miałam z chodzenia na koncerty do filharmonii i do teatru, czy do muzeów, niż z kiecek i randek z chłopakami. Któregoś dnia pojechałam do rodziców, bo potrzebowałam trochę pieniędzy na ślubny prezent dla koleżanki. Ojciec zaczął kręcić nosem, że teraz krucho z forszą, że nie muszę iść na ślub, a jak już, to po co prezent, wystarczą kwiaty i życzenia.

Mama nabrała wody w usta, bo zazwyczaj nie sprzeciwiała się ojcu. Postanowiłam sama zorganizować sobie pieniądze. Na strychu było mnóstwo różnych staroci, które do niczego w domu nie były już

potrzebne, więc rodzice pozwolili mi je spieniężyć, chociaż trochę się podśmiewali z mojego pomysłu. Zaczęłam grzebać w różnych bibelotach, póleczkach, skrzyniach i wybrałam kilka ciekawych rzeczy, które na pewno znajdą nabywców. Miałam zaprzyjaźnionego pana, który prowadził duży sklep z używanymi meblami i różnym sprzętem domowym więc postanowiłam skorzystać z jego pomocy. Odświeżyłam to co wybrałam, zapakowałam ojcu do samochodu i pojechaliśmy do centrum miasta. Właściciel „Graciarni”, bo tak nazywał się ten sklep, aż gwizdnął z zachwytu gdy zobaczył co przywiozłam. Od razu wycenił i wypłacił mi niezłą sumkę. Ojciec zamrugał oczami ze zdziwienia, bo nie przypuszczał, że te starocie są coś warte. Kiedy wyszliśmy ze sklepu i już wsiedliśmy do samochodu dogonił nas właściciel z jakimś pakunkiem w ręku.

- Pani Beatko - wołał, wciskając przez uchylone okno pakunek. - To było w tej dużej kasetce. Ona ma podwójne dno.

Wzięłam do ręki zawiniątko i spytałam ojca. - Tato, popatrz, co to może być?

Ojciec wzruszył ramionami i zaśmiał się. - Pewnie jakieś listy miłosne babki, bo to była jej kasetka.

- Ale babcia nie żyje już od paru lat - myślałam głośno. - To co teraz z tym zrobimy?

- Otwórz - mruknął ojciec zapalając silnik. - Poczytaj sobie, może coś ciekawego wyczytasz.

- Eee.. jakoś tak mi nieswojo - zastanawiałam się. - Jeśli to babcine, to może nie powinnam, co?

- Przecież jej teraz nie oddasz, bo jak i gdzie - zaśmiał się ojciec. - Otwieraj i sprawdź, to będziesz wiedziała co to jest.

Odpakowałam wierzchnią warstwę pergaminowego papieru, otworzyłam mocno pożąłką kopertę i wyjęłam zawartość.

- O, to nie listy, to jakieś zdjęcia. Tato, zobacz - podtykałam mu pod oczy.

- Jakie fajne maluszki, to zdjęcia od chrztu chyba, prawda? O, a tu pewnie ich rodzice, no spójrz. - Pokazywałam drugie zdjęcie. - Jaka śliczna ta pani.... Ojciec zerknąwszy na fotografie, gwałtownie zahamował.

Przy nagłym wstrząsie koperta wyleciała mi z rąk i upadła na podłogę. Schylając się po nią, na dywaniku zobaczyłam coś błyszczącego. - Tato, to złoty łańcuszek z krzyżykiem. Jaki piękny! - wykrzyknęłam podnosząc z podłogi.

- Zobacz - wysunęłam do ojca rozpostartą dłoń z łańcuszkiem.

Ojciec nawet nie spojrzał, tylko wlepił wzrok w szybę.

- Spytałyśmy matki, ona pewnie będzie wiedzieć co to jest. - Burknął jakimś matowym głosem, który ja nazywałam - drewniany, bo zawsze kiedy był zły albo niezadowolony z czegoś, miał właśnie taki matowy głos.

- Jakiesz szpargały nie wiadomo po kim. - skwitował i dodał gazu.

Ojciec pośpiesznie wysiadł z samochodu i poszedł do domu nie czekając na mnie. Zdziwiło mnie to, bo zawsze był szarmancki i nawet gdy byłam nastolatką otwierał mi drzwi i podawał rękę, ucząc mnie w ten sposób dobrych manier. Może chciało mu się siusiu, zaśmiałam się po cichu.

Kiedy weszłam do domu, zobaczyłam mamę stojącą w pokoju z wyrazem twarzy jakby się czegoś bała. Nigdy jej takiej nie widziałam.

Mamo, co się stało - spytałam zaniepokojona. - Gorzej się czujesz? Mama zamiast mi odpowiedzieć machnęła ręką i od razu spytała o tę kopertę z kasetki.

Podaliśmy jej i czekałam co ona na to. Wzięła do ręki i po kolei oglądała zdjęcia. Potem obejrzała łańcuszek z krzyżykiem i po chwili podeszła do mnie. - Może być twój Beatko, jest ładny - powiedziała oschle. - To pewnie po babci. Będziesz miała pamiątkę. Może nie zdążyła ci go dać. A na tych zdjęciach, to chyba ktoś z naszej dalszej rodziny, nic o nich nie wiedziałam. - Mruczała, kiwając głową. - Babcia zawsze była skryta. Może to jej chrześniaki albo dzieci kogoś ze znajomych. Kto ją tam wie.

Zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać, mama zaczęła chwalać mój pomysł sprzedawania staroci ze

strychu, bo ojciec już jej zdążył powiedzieć ile dostałam za te ich zdaniem rupiecie.

- Beatko, to bardzo dobry pomysł - mówiła z wielkim przejęciem, jakbym dokonała czegoś wyjątkowego.

- Ja poszperam jeszcze w komórkach i w piwnicy i jak przyjedziesz następnym razem to możesz wybrać co tylko chcesz do sprzedania. Zawsze to jakiś pożytek z tego będzie. Masz farta do upłynnienia staroci, a nam się to już nie przyda.

- Mamo, ale co z tymi zdjęciami, chyba nie zniszczysz, są takie piękne i... takie, takie jakieś... niesamowite - spytałam, bo znałam nawyki mamy. To co było nieprzydatne, wyrzucała do śmieci albo paliła w piecu. Nie chciałam, żeby to spotkało zdjęcia, bo doznałam jakichś dziwnych uczuć gdy miałam je w ręce i patrzyłam na twarze osób na zdjęciach, a szczególnie na twarz kobiety, która trzymała na rękach dwoje ślicznych bobasków. Chciałam zachować te fotografie.

Mama spojrzała na mnie i chwilę milczała. Widziałam w jej oczach niepokój, czy niepewność, bo nie było to spojrzenie jakie znałam.

- Pewnie, że nie wyrzucę - odparła, odwracając się. - Schowam do szuflady, przy okazji popytam rodziny, może ktoś będzie wiedział kto to był. Daj sobie spokój, przecież to tylko zdjęcia. Szkoda, że babcia nie schowała tam wartościowych papierów, prawda?

Z tym słowami wyszła z pokoju.

Po jej wyjściu założyłam łańcuszek na szyję. Podobał mi się. Wprawdzie nie gustowałam w wisiorkach z krzyżykiem, ale ten był bardzo piękny. Widać było precyzyjną ręczną robotę, nie od sztancy.

Kiedy go zawiesiłam na szyi poczułam jakby ktoś objął mnie i przytulił. To było coś niesamowitego. Spłynęło na mnie ciepło i spokój podobny do tego jaki odczuwałam leżąc na łące w upalne lato w promieniach słońca, a przecież teraz była już jesień i w domu było chłodno.

Podeszłam do toaletki z lustrem i nie mogłam oderwać oczu od tego co zobaczyłam. To było wręcz niewiarygodne. Zamarłam w bezruchu.

Przed lustrem stałam ja Beata, a w lustrze widziałam kobietę ze zdjęcia. Piękną, z burzą czarnych włosów i bladą twarzą, jakby za mgłą. Uśmiechała się tak jak na zdjęciu do tych maluszków.

Wzdrygnęłam się, zamknęłam oczy ale kiedy je otworzyłam obraz pozostał dalej taki sam. Nie bałam się, bo jej spojrzenie było przyjazne lecz byłam zaskoczona i trochę oszołomiona. Usiadłam na kanapie i odpięłam łańcuszek. Kiedy ponownie podeszłam do toaletki, zobaczyłam już tylko swoje odbicie w lustrze. - Co się ze mną dzieje? - głośno spytałam. - Znowu mam jakieś urojenia, czy coś podobnego.

W ręce trzymałam łańcuszek i nagle poczułam, że on jest gorący. Po prostu parzył mnie. Rozwarłam dłoń chcąc odłożyć łańcuszek na toaletkę, ale on tkwił na mojej dłoni jak przyklejony. Poczułam lęk. Zaczęłam krzyczeć. - Mamo, mamo!!

Spojrzałam na rękę. Łańcuszek zsuwał się powoli na podłogę i w chwili gdy zetknął się z parkietem usłyszałam dziwny dźwięk, jakby to było westchnienie czy ludzki jęk. - Och... - i zaraz szept. - Kristin...Kristiiiiinnn....

- Mamo!!! - krzyknęłam, ale nikt do mnie nie przybiegł. Stałam skamieniała ze strachu i tylko ten głos - Kristiiiiinnn...

Czułam jak osuwam się na podłogę.

Oprzytomniałam na wersalce. Otworzyłam oczy i zobaczyłam pochylone nade mną, zatroskane twarze rodziców. Matka jedną ręką gładziła mnie po policzku, a drugą podtykała pod nos buteleczkę z czymś co drażniło nozdrza. - Mamo, cóż to za paskudztwo, aż w mózgu wierci - prychnęłam odsuwając rękę matki.

- Beatko, to amoniak, stary, skuteczny specyfik na cucenie. Co się stało córeczko - pytała zaniepokojona matka.

-Tak nas wystraszyłaś. Dobrze, że ojciec zajrzał do pokoju, bo leżałabyś na podłodze nie wiadomo dokąd. Ja poszłam do sklepu, a ojciec już miał wyjeżdżać, ale zajrzał do pokoju i zobaczył cię leżącą koło

wersalki. Boże, naprawdę nic ci nie jest, co?

Pokręciłam głową na znak, że wszystko już w porządku.

- Tu masz gorącą herbatę - ojciec podał mi kubek z parującą herbatą. - Pij, to ci dobrze zrobi.

Posłusznie usiadłam i zrobiłam parę łyków. - Tato, coś ty wlał do herbaty - spojrzałam na ojca i odstawiłam kubek. - To jest mocne i piekące. - No... no... dodałam kapkę spirytusu, to dobre na krążenie, rozgrzeje cię.

Ojciec tłumaczył się jak sztubak. - Wypij więcej, to sprawdzona metoda, no wypij córka jak ojciec prosi.

Matka spróbowała herbaty, skrzywiła się z niesmakiem i pokiwała głową patrząc karcąco na ojca.

- Oj ty, ty oszuście, dobra mi kapka. To jest mocne jak siekiera. Pij Beatko, ojciec mocno przesadził, ale co tam, dorosła jesteś. Nie zaszkodzi ci, a pomoże.

Kiedy wypiałam do dna, rzeczywiście zrobiło mi się gorąco. W żołądku grzało jakbym połknęła ogień.

- No, teraz już widać, że ci lepiej - cieszył się ojciec. - Rumieńców dostałaś i oczy ci się błyszczą, a byłaś bledziutka jak płótno. Może tym masz... no wiesz co, te kobiece, co miesiąć... no kurde, wiesz przecież o co mi chodzi.

Ojciec się prawie spocił, dukając jak dzieciak banalne pytanie.

- Oj tato, to się nazywa menstruacja, miesiączka albo bardziej prosto, okres. Tak trudno to powiedzieć? - Uśmiechnęłam się patrząc na zakłopotanego ojca. Odwracał od nas wzrok jak panienka.

- Nie, nie mam okresu. To było tylko omdlenie i nic więcej. Każdemu się może zdarzyć. Już się dobrze czuję.

- Pewnie jesteś głodna - matka poderwała się jakby ją coś ugryzło. - Zaraz podaję obiad, bo przecież odkąd przyjechałaś, nic jeszcze nie jadłaś. Chyba z głodu cię tak osłabiło.

- Może i tak - mruknęłam.

Nie chciałam rodzicom mówić o tym co mi się przytrafiło. Znowu zaczęliby się martwić jak dawniej, kiedy miewałam dziwne sny i napady melancholii.

- O, tu jest ten łańcuszek - ojciec wskazał na stolik, na którym leżał równiutko ułożony naszyjnik.

- Leżał na ziemi, byłbym go podeptał.

- Tato - podniosłam oczy na ojca. - Ja go nie chcę. On mi się już nie podoba.

Ojciec popatrzył na łańcuszek i na mnie.

- Najpierw ci się podobał, a teraz już nie - zdziwił się. - Prawdziwa baba. - Skwitował ironicznie, machając ręką, jak to miał w zwyczaju, gdy brakowało mu słów.

- Chodźcie na obiad - z kuchni dobiegło wołanie mamy. - Już jest na stole.

Obiad jedliśmy w milczeniu. Rodzice bacznie obserwowali mnie, co było trochę denerwujące. Wiedziałam, że każde z nich zastanawia się czy przypadkiem nie mam nawrotów tej mojej dawnej nerwicy, a nie mieli odwagi o tym głośno mówić. Kiedy ojciec podniósł się od stołu, doznałam ulgi, bo to znak, że obiad skończony. Odkąd pamiętam, moi rodzice przestrzegali tych dziwnych zasad. Babcia, a mama ojca, pochodziła z jakiejś dawnej szlachty i to ona wprowadziła takie zasady, że zawsze od stołu wstaje głowa rodziny, jako pierwsza i tak samo było z zasiadaniem do obiadu. Musieliśmy czekać na ojca i dopiero jak on był już za stołem, pozostali domownicy mogli siadać do obiadu. Nikomu o tych naszych zwyczajach nie opowiadałam, bo pewnie śmiano by się ze mnie, ale w domu musiałam się podporządkować.

- Mamo, dlaczego ja nie mam rodzeństwa - zapytałam znienacka, sama się dziwiąc skąd mi się nagle nasunęło takie pytanie. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ani też nie pytałam rodziców.

Mama podniosła głowę i ściągnęła brwi jakby się nad czymś głęboko zastanawiała.

- No wiesz - zaczęła powoli. - Tak jakoś wyszło. Początkowo długo nie zachodziłam w ciążę, a potem jak ty się urodziłaś, cieszyliśmy się tobą jak cudem, który nam spadł z nieba i już nie myśleliśmy o następnym dziecku. Potem gdy byłaś większa, to już nie chciało mi się wracać do pieluch. Pamiętasz, że

dziadek i babcia od bardzo dawna chorowali, więc musiałam się nimi opiekować i nie miałabym siły na ciężę i maleństwo. Nie zawsze Beatko można mieć to o czym się marzy - dodała ze smutkiem w głosie. - Życie to ciągle wybory. Czasem trzeba zadowolić się tym co daje los. Niekiedy z czegoś zrezygnować dla dobra innych. Pamiętaj o tym córeczko.

Żałowałam, że poruszyłam ten temat, bo widziałam, że matka posmutniała, a jej oczy wyraźnie się zaszkliły.

- Mamo, przepraszam - podeszłam do matki i objęłam ją za szyję. - Ja tylko tak, bez powodu. Rozumiem cię i wcale nie chciałabym mieć rodzeństwa. Nie wiem skąd to pytanie mnie naszło. Mama poklepała moją rękę mówiąc - wiem córcia, wiem - i dyskretnie otarła oczy.

- Będę się zbierać, bo za godzinę mam ostatni autobus.

- Dobrze Beatko - mama wstała od stołu. - Przynieś torbę, to zapakuję ci trochę wałówek. Upiekłam kureczaka i ciasto, takie jak lubisz, zebnę.

- Och mamuś - posłałam jej promienny uśmiech. - Kiedy to zdążyłaś zrobić?

Mama zaśmiała się swoim pięknym śmiechem. Lubiałam gdy się śmiała. Wtedy z jej gardła wylatywały srebrzyste perełki. Tak mawiał ojciec, gdy byli młodszy. Kiedy byłam mała, podglądałam czy nie spadają na podłogę.

- A co ty myślałaś, że ja się objam? Jak byliście z ojcem w tej "graciarni", to ja szykowałam wszystko i zdążyłam.

Zapakowałam torbę podróżną, pożegnałam się z rodzicami i wyszłam z domu. Ojciec chciał mnie podwieźć, ale nie zgodziłam się, bo do przystanku miałam kilkaset metrów, a w torbie tylko wałówkę i parę ciuszków. Za bramką nagle przystanęłam i bez namysłu zawróciłam do domu.

- Beatko, co, poczułaś się znowu źle - krzyknęła mama na mój widok.

- Nie mamo, wszystko w porządku, zapomniałam czegoś. Wpadłam do pokoju i nie zastanawiając się, sięgnęłam po leżący na stoliku łańcuszek. Nie wiem dlaczego to robiłam. Bałam się go dotykać, a jednocześnie czułam, że powinnam zabrać. Kiedy wzięłam go do ręki nic wielkiego nie poczułam, po prostu zwykły łańcuszek. To co mi się przytrafiło przed paroma godzinami, wydało mi się teraz jakimś moim urojeniem, przywidzeniem, snem.

- No proszę - usłyszałam za sobą głos ojca. - Znów ci się spodobał?? Oj córka, córka.

- Pa, już mnie nie ma. - Odkrzyknęłam i zamknęłam drzwi.

W autobusie zajęłam miejsce przy oknie. Torbę wstawiłam na półkę na bagaże. Na następnym przystanku dosiadło się dużo ludzi. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Przede mną ponad godzina jazdy, więc przytuliłam głowę do szyby, układając się do drzemki. Zawsze w podróży posypiam, a teraz po tej tatowej herbatce od razu zaczęły mi się kleić powieki i zanim cokolwiek pomyślałam odpłynęłam w krainę snu.

- O Jezu!! Ratunku!! - usłyszałam. Otworzyłam oczy i z przerażeniem patrzyłam na kłębowisko ciał i bagaży w autobusie, na sypiące się szkło z okien. Chciałam się podnieść, żeby komuś pomóc ale nie mogłam się ruszyć. Byłam cała, nic mnie nie bolało, a nie mogłam ruszyć ręką ani nogą. Siedziałam sztywna jak manekin. Nie wiem jak długo to trwało. Ja siedziałam i tylko patrzyłam. Nawet nie pomyślałam, żeby spojrzeć na zegarek. Byłam w jakimś dziwnym transie.

Rozległy się syreny policji, karettek i do wnętrza wpadli ludzie w uniformach. Sanitariusze i lekarze wyciągali rannych, ktoś inny zbierał bagaże i wynosił na zewnątrz, a ja siedziałam jak przyklejona do fotela.

- Nic pani nie jest - spytał młody mężczyzna w czerwonym uniformie. - Może pani wstać?

Popatrzyłam na niego i dopiero zdałam sobie sprawę, że to jest wypadek. Teraz to do mnie dotarło. Mężczyzna rozejrzał się po całym wnętrzu i pokręcił głową.

- Jezu, to jakiś cud. Wszyscy pospadali z foteli, a pani siedzi jakby nic się nie stało.

- Ja spałam, nic nie wiem - wydukałam.

- Ja chcę wysiąść, co się stało, gdzie my jesteśmy? - zadawałam pytanie za pytaniem.

- Już w mieście, niedaleko dworca PKS. Pomogę pani. Podał mi rękę i pomógł wstać. Wstałam i spojrzałam w górę na półkę.

- To mój bagaż, może pan go zdjąć? - Poprosiłam, chociaż przedtem sama go tam bez trudu włożyłam. Mężczyzna obrzucił wzrokiem półki i znowu się zadziwił.

- No coś podobnego. Wszystkie bagaże pospadały, a tylko pani torba została. Gdyby mi ktoś to opowiedział to nie uwierzyłbym.

Ma pani wyjątkowe chody w niebie - roześmiał się, zdejmując moją torbę.

Kiedy wyszliśmy z autobusu zapytał. - Na pewno nic pani jest, może jednak da się pani zbadać lekarzowi. Tak dla pewności, proszę..

- Nic mi nie jest - uciełam krótko. - Czy są jakieś śmiertelne ofiary - spytałam.

- Nie, na szczęście nic poważnego. Więcej było strachu i krzyku niż obrażeń. Dwie osoby pojechały do szpitala na szycie, a reszta jest zaopatrywana tu na miejscu.

- Chwała Bogu, to wielkie szczęście - westchnęłam. Pierwszy raz brałam udział w wypadku, chociaż tak naprawdę to nic nie pamiętam. Byłam, widziałam, a jakby mnie tam nie było. Nie mogłam pojąć dlaczego mnie nic się stało.

- Dziękuję za pomoc i dobranoc. - Pożegnałam miłego sanitariusza, który cały czas patrzył na mnie i kręcił głową, powtarzając pod nosem - niesamowite, nikt mi nie uwierzy, to prawdziwy cud.

- Jeszcze raz dziękuję - skinęłam głową i udałam się na poszukiwanie taksówki, bo do stacji miałam dość spory kawałek drogi. Udało mi się odejść niespostrzeżenie, bo obok rozbitego autobusu i furgonetki leżącej na boku, na samym środku jezdni, gromadził się już tłum ciekawskich fotoreporterów i dziennikarzy.

- Jak szarańcza - warknęłam sama do siebie, skręcając w boczną uliczkę. - Zwykły wypadek. Też mi sensacja.

Przystanęłam na skwerku i zaczęłam się obmacywać. Przypomniałam sobie, że podobno ludzie w szoku powypadkowym najpierw nie odczuwają bólu nawet jak mają coś złamane, a dopiero po pewnym czasie pojawiają się dolegliwości. Obmacałam dokładnie ręce, nogi, biodra, zębra, głowę. Poruszałam się trochę, zrobiłam parę przysiadów i nic. Kompletnie nic. Żadnego bólu, wszystko na swoim miejscu i sprawne. Szłam dalej zadowolona, że mi się udało, ale w głowie roiło się od pytań i wątpliwości, dlaczego akurat mnie się udało, nawet moja torba ocalała, to mnie zaczynało intrygować. Brałam udział w wypadku, a czułam się jakby mnie tam wcale nie było.

Po drugiej stronie ulicy zobaczyłam postój taksówek. Przyśpieszyłam kroku, prawie przebiegając przez jezdnię.

Usłyszałam klakson i tuż przy moich nogach zatrzymał się z piskiem opon czerwony samochód. Zamiast brać nogi za pas ja stałam w miejscu, torba wypadła mi z ręki, a kierowca wrzeszczał jak opętany - Jak łazisz idiotko! Życie ci nie miłe. Spieprzaj z drogi kretynko, no co się gapisz?

Nie wiem co mi się stało, nie miałam siły zrobić kroku, tak jakby moje nogi nie były moje. Wiedziałam, że powinnam odejść, bo już zaczynał się robić korek, klaksony wyły, a ja dalej stałam. Kierowca wyskoczył z samochodu, podbiegł do mnie, chwycił energicznie za rękę, pociągnął w bok i nagle...stało się coś czego się nie spodziewałam. Runęłam na ziemię jak długa. - Naćpana, czy pijana? - usłyszałam czyjś głos obok nas. - Naćpana, wezwijcie gliny, nie ma co zwlekać - docierały do mnie ich słowa.

Poczułam jak czyjeś ręce podnoszą mnie z ziemi i przenoszą dalej, jednocześnie usłyszałam krzyk. - Niech ktoś wezwie pogotowie. Tylko szybko.

Ten krzyk oprzytomnił mnie. - Moja torba - wymówiłam niemrawo. - Moja torba, tam jest...tam jest w niej...

- Co, gdzie, jaka torba, co w niej jest? - gorączkowo pytał mężczyzna trzymający mnie na rękach.

- Mój łańcuszek - dokończyłam z trudem. - A już się wystraszyłem, że bomba - roześmiał się, sadzając mnie na ławce. - Już pani lepiej, chyba tak. Dochodzi pani do siebie? No, niech pani spojrzysz na mnie. Ujął moją głowę w dwie ręce i nalegał - proszę otworzyć oczy i coś powiedzieć. No, proszę mnie posłuchać. Już pani jest bezpieczna, za chwilę będzie pogotowie - uspokajał.

- Pić mi się chce. Pić i moja torba, moja torba - powtarzałam jak katarynka. - Niech pani tu siedzi, zaraz przyjdę. - Mężczyzna oparł mnie o ławkę i gdzieś pobiegł. Uniosłam powoli powieki. Nie wiedziałam, że powieki mogą być tak ciężkie, jakby miały przywieszzone ciężarki. Dotknęłam rękami twarzy. Moje palce były zimne jak lód, a twarz płonęła.

Chyba mam gorączkę, pomyślałam. - Pić, bardzo chce mi się pić i spać - szeptałam. - Spojrzałam w stronę skupiska ludzi i zobaczyłam podjeżdżającą karetkę. - Nie, ja nie chcę do szpitala - próbowałam protestować gdy dwaj sanitariusze podbiegli z noszami.

- Proszę tylko o coś do picia i już będzie dobrze - prosiłam. - Ale pani podobno nie ma władzy w nogach - perswadował jeden z sanitariuszy. - Ooo, kogo ja widzę - powiedział drugi. - A prosiłem, nalegałem, żeby dała się pani zbadać, a pani nie i nie i teraz kłopot. Spojrzałam w górę. Przede mną stał ten sympatyczny sanitariusz, który wyprowadził mnie z autobusu.

- Moja torba, poszedł po nią jakiś pan - chwyciłam jego rękaw i nie puszczałam. - Muszę mieć torbę. - Aaa, pani torba, pamiętam - zaczął żartować. - Ona nie zginie, to zaczarowana torba. - O jakiej torbie mówicie - spytał drugi. - Nie ma czasu, zbierajmy się, no już, rozkładaj nosze.

- Jest, jest torba, czy to pani własność? - wołał biegnący do nas mężczyzna, trzymając moją torbę w ręce.

- Leżała przy krawężniku, aż dziwne, że nikt jej nie zwinął. Zaraz tu będzie policja - informował młodzieniec.

- Jaka policja, po co? - wystraszyłam się. Nie czekając na odpowiedź sięgnęłam do torby. Rozsunęłam zamek kieszonki i wsunęłam rękę.

- Jest, jest! - krzyknęłam - czując pod palcami łańcuszek. Mężczyźni spojrzeli na mnie zaskoczeni, bo przed chwilą ledwo wymawiałam słowa, a teraz krzyknęłam głośno, ze wszystkich sił. Patrzyłam na ich zdziwione miny i dalej gmerałam palcami w kieszonce. Moje palce dotykały łańcuszka i z każdą sekundą wracały mi siły. Najpierw wzrok nabrał właściwej ostrości, a potem minęło mi pragnienie. Poruszyłam językiem w ustach. Poczułam wilgoć, chociaż przed kilkoma minutami język był suchy i miałam ogromne pragnienie. Lepiej mi się oddychało, a w głowie ustawał ten dziwny szum i zamęt jaki miałam.

- No dobrze, torba jest, to jedziemy - dyrygował sanitariusz.

- Policja niech jedzie za nami, zwrócił się do mężczyzny stojącego obok. Powie im pan, prawda? Odwróciłam twarz w jego stronę i w świetle latarni zobaczyłam przystojnego, młodego mężczyznę. Patrzył na mnie i uśmiechał się.

Niewiele myśląc poderwałam się z ławki i zrobiłam parę kroków w jego kierunku. Chciałam mu podziękować za pomoc, za to, że zabrał mnie z ulicy, z tłumu gawiedzi i rozwścieczonych kierowców. Sanitariusz stanął przy mnie gotów do asekuracji.

- Pani chodzi?! - tym razem on wykrzyknął. - Przecież było zgłoszenie, że ofiara wypadku ma niewładne nogi.

Mężczyzna zrobił krok w moją stronę. Ujął mnie za rękę, nachylił się i do ucha szepnął coś w rodzaju prośby i dobrej rady zarazem.

- Proszę się nie opierać i jechać na badanie do szpitala. Bardzo proszę, bądź rozsądna. - Delikatnie musnął dłonią moją twarz. Ten dotyk odczułam jak coś bardzo bliskiego, znanego. Wzdrygnęłam się. Nie byłam w stanie zebrać myśli, żeby coś odpowiedzieć. Patrzyłam i uśmiechałam się. Trwało to jak mgnienie oka ale dotknęło mnie głęboko.

Czułam się już całkiem dobrze, ale po raz pierwszy w życiu nie dyskutowałam, nie protestowałam, tylko bez słowa pozwoliłam położyć się na nosze i zawieźć do karetki. Nie wiem czy dlatego, że w ten sposób

chciałam wyrazić mu swoją wdzięczność, czy dlatego, że był taki przystojny i onieśmielał mnie, czy dla innego powodu. Wtedy jeszcze nie byłam pewna, ale gdzieś w głowie rodziło się przeświadczenie, że znam skądś tę twarz, ten uśmiech, ten dotyk.

Skinęłam do nieznajomego ręką w geście podziękowania, ale on tego już nie widział bo poszedł do swojego samochodu. Leżąc na noszach, ściszałam swoją torbę jak najcenniejszy skarb. W życiu tak nie troszczyłam się o swój bagaż.

c.d

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Miranda, dodano 21.04.2011 11:38

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.